

pani. Nieżal słuchać takiego wodza z anielskiem, obliczem a rycerską duszą — niech żyje Emerencja Pauli!

A choć Swen miał głęboką ranę w głowie a Karl w ramieniu, Swerker wesoło spoglądał na nich, zacierał ręce z radości i sławił miłosierdzie Boże.

Przy łóżku wodza chorego, krzątała się tkliwa małżonka. Sama przewinęła jego rany i lekki podawała mu posiłek. Powoli, komnaty zamkowe napełniać się zaczęły wojskiem; kto tylko mógł się utrzymać na nogach, dążył do wodza w odwiedziny. Emerencja kazała stoły zastawić, gościnnie podejmując przybyłych.

Marcin Kraków z chlubą i radością wodził oczyma za żoną. „Piękna, mądra, kochająca i odważna. Czułość kobiety a dzielność męża, błogosławieństwo Boże, taka niewiasta; mówił półgłosem do swych towarzyszy wojny.”

— I moja taka i moja i moja — powtórzyło kilkadziesiąt męskich głosów: podnieśli do góry szklanki z miodem.

— Niech żyją nasze kobiety! zawołali — niech żyje bohaterka Gullberga — Emerencja Pauli!

— Marcinku, szepnęła Lizia — czy kobieta może być oficerem? a widzisz jaki to dowódca z mamy.

Marcinek w dziecięcym uwielbieniu przykląkł, całując nogi matczyne.

— Dzieci moje, rzekła Emerencja, dosłyszawszy słów córki. Kobieta Bóg nie stworzył do wojny. Ona ma goić rany, a broń Boże zadawać je zuchwale.... Tylko wtedy gdy ręce męża osłabną, gdy mężczyzna ważnego spełnić już nie może dzieła — wtedy dopiero kobiecie dozwolone zastąpić ojca lub brata i męskiej chwycić się pracy.

J. Janiszewska.

SPOTKANIE W MARJENBADZIE.

Komedja w 2ch aktach oryginalnie napisana.

O S O B Y:

BARON ZAWILSKI.

PIOTR CZESKI, jego dawny znajomy.

WŁADYSŁAW, sąsiad Czeskiego.

JADWIGA, } córki Czeskiego.

HELENA, }

PANI MEŻYCKA, wdowa.

(Rzecz dzieje się w Marjenbadzie.)

AKT I.

Teatr przedstawia las górzysty w Marjenbadzie.

MEŻYCKA (*zstępuje sama ścieżką z góry, ubrana wykwintnie na ranną przechadzkę*). Jakże nudny jeszcze Marjenbad!... znajomych mam tu tak mało, że rozpacz bierze chodzić samą, jak jaka uboga brzydka panienka, lub podstarzała elegantka. A przecież nie byłam nigdy pierwszą, drugą zaś dzięki Bogu! nie jestem jeszcze. Lecz gdy nadejdzie ta straszna chwila!... (*zamyśla się*). Lecz po co myśleć o tém... Ja tak dobrze wyglądam — każdy mi to mówi z za-

dziwieniem, a wczoraj jeszcze wychodząc śpiesznie ze sklepu, w nowym kapeluszu i zobaczywszy się przypadkiem w zwierciadle, o mało com się nie zapytała: co to za śliczna osoba? (*weselęj*). Tak, tak — te oczy których potęgę niezrównaną w dzieciństwie jeszcze przepowiadał książę Józef, ognia dotąd pełne, a ta kibić (*odstłania mantylkę*) której arystokratyczną wspaniałością zachwycał się do szaleństwa, hrabia Artur, że byłby się dla mnie rozwiódł ze swoją żoną i wyrzekł jej milionów — ba! te miliony byłyby u nóg moich, gdyby nie wysoko cnotliwe stanowisko, na jakim się zawsze utrzymać chciałam — o! ta kibić nic nie straciła jeszcze równie jak i ta nóżka, pieścielko istne!... i ta ręka do której różnych paznokci wiersze pisano (*przypatrując się sobie z upodobaniem*). Doprawdy, doprawdy! nie mylą się ci co mi mówią, że prześlicznie wyglądam. (*Władysław się zbliża śpiewając wesoło*). Przecież jakiś męski kapelusz między drzewami czer-

nieje.... może który ze znajomych — będzie mi miał kto przynajmniej rękę podać, (*kłania się*). Ach! to Pan — miło mi go spotkać.— Pan przyjemnie zaczyna ranek śpiewem.

SCENA 2.

WŁADYSŁAW. Tak pani— poranek dnia pięknego, to jak życia poranek; witamy go radością i nadzieją.

MEŻYCKA. Szczęśliwy humor! tej wesołości Panu zazdroszczę.

WŁADYSŁAW. Jestem wesół, pani, jak człowiek, któremu życie nie zbyt ciężkie — który widzi w około siebie zacnych ludzi kółko i ma pociechę nie zwątpić o ludzkości, bo wierzy mocno, że nie wszystko brudem jest i podłością na tym świecie.

MEŻYCKA. Może też tej wesołości inna przyczyna... coś mi już w kraju napomykało... (*z uśmiechem*). A podobno panny Czeskie przyjechały tu przed kilkoma dniami z ojcem?

WŁADYSŁAW (*zimno*). Przyjechały.

MEŻYCKA. Nie wiesz pan, czy kto jeszcze nie przyjechał ze znajomych nam Polaków? Nudzę się tu nie do wytrzymania i żałuję niezmiernie żem tak wcześniej przyjechała. Naszych hreczkosiejów ani wyrusz z kraju przed końcem czerwca. Sto-Jańskie interesa, wełna do sprzedania, kontrakt do zawarcia....

WŁADYSŁAW. Czytałem właśnie nazwisko wczoraj przybyłego Polaka, ale mi nieznane.

MEŻYCKA. Któż — któż?

WŁADYSŁAW. Baron Zawilski.

MEŻYCKA. On tu jest?... ten stary szarant. Widywałam go jeszcze za życia mego ostatniego męża i bawił mnie zawsze bardzo.

WŁADYSŁAW. Jego przybycie więc jest rękojmnią, że się pani teraz mniej nudzić będziesz. (*chce odejść*).

MEŻYCKA. Już mnie pan chcesz pozbawić przyjemności towarzystwa swego? (*drwiąc nieco*). Zapewne panny Czeskie muszą błądzić dzisiaj po tych górach, przysłuchując się śpiewowi ptasząt i oddychając wonią rosy, a pan pragniesz je spotkać, aby z nie mi wspólnie zachwycać się nad świeżością poranku, nieprawdaż?

WŁADYSŁAW (*na stronie*). Baba przenikliwa!... (*głośno*) Pani, jej towarzystwo równie mi jest miłe; błędę tak bez celu, aby chodząc póki mój wuj śpi jeszcze, gdyż prawie całą resztę dnia przy nim spędzam, a jemu rzadko kiedy zdrowie wychodzić pozwala.

MEŻYCKA. Pan tu z Wujem — pan masz wuja — bogaty wujaszek — co? będzie sukcesyjka?

WŁADYSŁAW. Niebogaty pani — pieniądze nie lgną do naszego rodu. Ale człowiek zacnego serca i głębokiego rozumu, który dla mnie przez przywiązanie stał się ojcem. (*patrząc na zegarek*). Może się już obudził. Zegnam panią.

SCENA 3.

MEŻYCKA (*sama*). Serce — rozum! — smutna to kompensacja, która w oczach świata nie pokryje nigdy golizny. Mój biedny marzycielu, lepiejbyś ty wyszedł, gdybyś miał wuja bogatego niż uczuciowego i nawet w tej twojej sercowej sprawie, bo już widzę że wzdychasz do któregoś z Czeskich, wyszła cię z kwitkiem, bo którażby cokolwiek rozsądna kobieta, za takiego golca poszła. (*oglądając się*). Oho! już go ani widać. Pędzi za pannami, a nie wiem co tam w nich upatrzył, doprawdy. Tak sobie zwyczajne buziaczki; ale gdzie oni teraz mają oczy, ci mężczyźni. Drugi — toby się swoją drogą o pannę starał, i dla tego ładnej wdówki tak nie opuścił nie podawszy jej ręki, nie naprawiwszy tysiąca grzeczności... Lecz otóż widzę, idą i Czeskie — dobrze mu tak! gdyby był został....

SCENA 4.

Meżycka pp. Czeskie.

JADWIGA. Dziś właśnie wybierałyśmy się do pani.

MEŻYCKA. Jakże szczęśliwa jestem z trafu, który mi pozwala zaraz na dzień dobry ucałować wasze śliczne buziaczki. Nie spotkałyście nikogo ze znajomych?

HELENA. Nikogo.

MEŻYCKA. Nie może być.... Jednak ja tu widziałam takich, co was pilnie szukają.

JADWIGA. Nasz ojciec?

MĘŻYCKA. A pfe! Jadwiniu, mówisz coś nie myślała, dla tego widzisz!... zarumieniłaś się. (*Jadwiga się odwraca*).

HELENA. Cóż dziwnego? — Jadwinia rumieni się tak łatwo... i mnie żeby pani tak raptownie o rumieniec posadziła, zaczerwieniłabym się pewno zaraz po same uszy, No!... (*śmiejąc się*) każesz pani raka upiec?

MĘŻYCKA. Figlarko — tyś go i tak już upiekła od słońca. O! znać zaraz, że matki niema. Czemu zasłonki na kapeluszu nie nosisz?

HELENA. Po co?

MĘŻYCKA. Jak to po co? dla pielęgnowania białości płci.

HELENA. Któżby się tam o to troszczył.

JADWIGA. I co z tego za wielkie szczęście, gdy skóra trochę jaśniejsza lub ciemniejsza.

MĘŻYCKA. Właśnie, że wielkie szczęście dla nas — piękność! Słyszałyście kiedy, żeby inaczej dzielono kobiety, jak na piękne i brzydkie? — To są tylko dwa gatunki, które mężczyźni pojmują — przed jednemi padają na kolana, od drugich odwracają się z szyderstwem. Kiedyż się troszczą o inne zalety kobiet? — wtedy tylko chyba, kiedy już jako żony, bardzo im złością i głupstwem dokuczą. Ale to ich dla tego nie nauczy i zawsze pierwszym pytaniem, o każdej kobiecie, będzie: czy piękna? — jedyną skalą według której mierzą jej wartość, zostanie piękność ciała. Godziż się nam więc ją zaniedbywać? — i owszem podtrzymujmy jak najdłużej, ach! jak najdłużej, bo jak niknąć zacznie...

JADWIGA. Więc kiedy musi przeminać, lepiej się starać o trwalsze zalety, które nam do śmierci szacunek zapewnić mogą, jeżelibyśmy nawet innych wyższych celów już nie mieli, jak tylko ten ludzki szacunek.

MĘŻYCKA (*uśmiechając się*). Dzieci z was wielkie, moje panienki. Jak pożyjecie dłużej w świecie, to wam te ekzaltowane wyobrażenia wywietrzeją z głowy.

JADWIGA (*z uczuciem*). O! — nie — nigdy! będziemy gorąco modlić się do Boga, aby myśli i uczucia nasze, uchronił przed zatrutem tchnieniem tego brzydkiego świata, o którym pani wspominasz.

HELENA (*patrząc w głąb*). Patrzcie panie!... zbliża się jakaś figura niewidziana

dotąd w Marjenbadzie. Zapewne nowo przybyły... Polak to? — Włoch, Francuz, Niemiec czy Anglik? — zgadujmy!

MĘŻYCKA. Ej! wszak to mój znajomy, baron Zawilski.

JADWIGA. Znajomy pani? ... więc żegnamy ją, chciałybyśmy się zejść z ojcem.

HELENA (*do siostry śmiejąc się*). Patrz, patrz!... to ten sam co we Wrocławiu chciał się z ojcem widzieć i nie zastał go. Ach! jeszcze dziś śmieszniejszy.

JADWIGA (*biorąc ją pod rękę*). Chodźmy

SCENA 5.

Zawilski, Mężycka.

ZAWILSKI (*ubrany z pretensją, kulejąc czasem, lornetując impertynencko zbliża się do panien, które usiłują się z nim rozmówić*). Wszak zdaje mi się... miałem szczęście... córki mego najlepszego przyjaciela... jak czarowne zjawisko, jak nimfy tych lasów, jak opiekuńcze bóstwa!... (*siostry odchodzą kłaniając się zinnio*). Masz tobie!... i nie dosłyszały końca tak poetycznie zaczętej przemowy. Spłoszyło się to jak dzikie ptaszęta. Doprawdy — ja jeszcze jestem bardzo niebezpieczny! (*churyta się za nogę*). Aj! te przekłete bóle!... gutowi mnie wiaść za starszego niż jestem. Żeby to można nie pokazać się ludziom, aż na końcu kuracji, kiedy znowu noga będzie prosta i zdrowa, gdyż zaręczają mi że wszystkie takie cierpienia... (*spostrzega Mężycką*). Boże wielki! jakaś dama, damulka nieszeptna na honor!... Może widziała jakem kulał, może słyszała (*kryguje się i zbliża do Mężyckiej lornetując*). Co widzę!... królowa naszych salonów tutaj (*klania się*). Zrazu, poznać panią nie mogłem.

MĘŻYCKA. Widać że się bardzo odmieniłam od czasu jakeśmy się nie widzieli.

ZAWILSKI (*wdzięcząc się*). Jakże miałem poznać?... Zobaczyć po kilku leciech niewidzenia osobę ładniejszą niż była — kiedy naturalnie spodziewać się było można, że czas wyrzył na niej swe piętno okrutne — zobaczyć ją w całej pełni olśniewających wdzięków i nie być oczarowanym, zdumionym! to — nad siły śmiertelnika.

MĘŻYCKA. Pan jesteś zawsze przyjemny, a wyglądasz tak doskonale, że nie wiem do-

prawdy po co tu przyjechałeś, bo pewno nie dla kuracji.

ZAWILSKI. To jest... nie... zapewne (*na stronie*). A do biędzy! trzeba się wyprostować, żeby nie dojrzała co mi dolega. (*głośno*). Ja tak zdrow jestem, jak... jak nikt!... lecz przybyłem tu w pewnych zamiarach, które jeszcze okrywa mgła tajemniczości— przypadek nadzwyczaj dobrze mi posłużył.

MĘŻYCKA. Więc już o te zamiary zapytać byłoby natręctwem?

ZAWILSKI. Owszem—owszem. Pani wszystko wolno. Względy pani zbyt mi są drogie, zbyt potrzebne, abym jej posłusznym być nie miał.

MĘŻYCKA. Więc te zamiary, te projekta?

ZAWILSKI. Są projektami na których kończą zwykle wszyscy rozumni ludzie. Krótko mówiąc, chciałbym się ożenić.

MĘŻYCKA. Słusznie— słusznie! (*na stronie*). Człowiek to bardzo bogaty. (*głośno*). Zamiar godny człowieka z tak wysokim taktem, (*zbliża się z przymileniem do Zawilskiego*) i spodziewam się że wybór pański potwierdzi wysokie wyobrażenie, jakie wszyscy mają o jego sędzie.

ZAWILSKI. O! nie wątpię o tém. Mój wybór we wszystkiém godny mnie być musi. Ja bo mam gust wykwinny, a znam się doskonale na kobietach. Daleki od chciwości tych próżnych młokosów, co pieniędzy tylko szukają, ja nie dbam o nie, ale za to wdzięków szukam — téj arystokratycznej kibici, tych ognistych oczu, téj rączki białej i składnej, nóżki drobniej co nigdy się nie starzejac, jest tak trwałym pięknosci pomnikiem. Ach! te nóżki! (*wzdycha*).

MĘŻYCKA (*do siebie*). Wyraźnie mój obraz kreśli (*z rezygnacją*). Ha! czemużbym i za czwartego pójść nie miała. (*głośno*) Zapewne ta wykwinność gustu sprawiła żeś pan dotąd zebrać się nie mógł na małżeński związek?

ZAWILSKI. Hej! pani — nie myślało się o tém. Żyło się, hulało się! młodość, młodość! — ale nareszcie pomyślałem sobie: młodość uciec może...

MĘŻYCKA. Tak niestety! — uciec może...

ZAWILSKI. I wśród upojenia rozkoszami życia, starość i śmierć zaskoczyć, a ja nie zostawię świata potomków imienia mego.

MĘŻYCKA. Zapewne— ludzie tak znakomici jak pan, robią tém ludzkości niepowetowaną krzywdę.

ZAWILSKI. A majątek mój rozdrapałiby dalecy i niewdzięczni successorowie.

MĘŻYCKA. Oczewiście że go lepiej porządnie zrobionym zapisem, żonie zostawić.

ZAWILSKI (*z urazą*). Nie wiem dla czego pani wnosisz, że ja koniecznie od mojej żony pierwój umrzeć muszę.

MĘŻYCKA. Broń Boże! nawet tego nie przypuszczam; ze zdrowiem pana żyje się wieki.

ZAWILSKI. I potem nad wszystkie światła rozkosze, przyznaj pani że uczucia, uczucia! są nektarem..... są źródłem z którego czerpiemy wszystko... ku naszej wygodzie i przyjemności.

MĘŻYCKA (*zawracając tklawie oczy*). Ach! uczucia!... niebiańskie rozkosze...

ZAWILSKI. Zdaje mi się, że już widzę rozkochaną we mnie żonę, okrywającą cieplą flanelą...

MĘŻYCKA. Co? jak to?....

ZAWILSKI. Chcę mówić — pocałunkami (*krzywiąc się*). Aj!...

MĘŻYCKA. Pan zdajesz się cierpieć.

ZAWILSKI. O! pani, i jak cierpię!... mękę Tantala z tęsknoty za tém jeszcze niedoścignioném szczęściem (*robi kilka kroków kulejąc i mówiąc do siebie*). Nie wytrzymam!... a ta... jak na złość ciągle mi się przypatruje.

MĘŻYCKA. Jednak ja panu zawsze radzę pić tutejsze wody, bo widzę że ta noga...

ZAWILSKI. Co pani widzi?... widzi pani... (*zaczyna śmiać się chcąc ból pokryć*) A! to nie, to nie... Wystaw sobie pani, że mnie dziś jeszcze boki bołą ze śmiechu (*do siebie*). Przeklęta noga!... (*głośno*). Otóż téj wiosny w Wiedniu jechaliśmy sobie konno z księżną de Lichtenstein — wie pani — daleka kuzynka moja, śliczna kobieta! która mi zawsze mówi i to przy księciu, że gdyby on umarł, to by ona zaraz za mnie poszła... Więc tedy— księżna de Lichtenstein miała pysznego angielskiego rumaka, który kosztował dziesięć tysięcy zł. reńskich — bystrogo rumaka jak dla damy, ale księżna nadzwyczaj odważna— o! poznałem w niej swoją krew... kierowała nim jak ułan. Jedziemy sobie, ja tuż przy niej, przyjemną

zabawiając ją rozmową — ona, naturalnie, więcej patrząc na mnie, jak na drogę, gdy w tém!..... koń jęj zląkł się czegoś dał susa i wspinać się zaczął. Ja — szust! ze swego — uchwyciłem angielczyka za cugle i tak silnie na dół szarpnąłem, że sam padł na kolana, koń na nos, a księżna przezemnie i przez konia (*z przesadą*). O! jak pełna gracji była w upadku swoim.

MĘŻYCKA (*z uśmiechem*). I skutkiem tego heroicznego zdarzenia...

MĘŻYCKA. Ten wypadek zrobi pana jeszcze bardziej interesującym w oczach całej poci pięknej zgromadzonej w Marjenbadzie.

ZAWILSKI. Pani sądzisz?..... (*na stronie*). Wiwat! historia moja — wyznać trzeba że ja mam głowę nie do pozłoty.

MĘŻYCKA. Ja przynajmniej — na przechadzce w obec wszystkich, pysznabym się czuła, móż ofiarować rękę człowiekowi, który w bohatérskim poświęceniu dla kobiety na cierpienie się paraził.



„tak mi tu miło!... może się przejdziemy.”

ZAWILSKI. Tak — przez gwałtowne ułknięcie jedna noga moja trochę ucierpiała... ale to minie

MĘŻYCKA. O! minie — w wieku pana, przy żelaznym zdrowiu jego.... Lecz ten przypadek dał mi poznać w panu przymiot, którego dotąd nie miałam dostrzedz sposobności, odwagę — odwagę bohatérską!

ZAWILSKI. Już to jest pani w rodzie moim (*do siebie*). Doprawdy — byłem odważny opowiadając historję, której zaczynając początek sam jeszcze nie wiedziałem końca.

ZAWILSKI (*podając jęj rękę*). Pani! to jest moim obowiązkiem.... Pani już chcesz wracać do domu?

MĘŻYCKA (*z kokieterją*). O! nie, tak mi tu miło!... może się przejdziemy, powietrze tak wonne!...

ZAWILSKI. Rozmowa pani tak czarująca!... (*odchodzą prowadząc się*).

SCENA 6.

WŁADYSŁAW (*sam*). — A to fatalność!... spotykam tych wszystkich, których widzieć

bynajmniej nie pragnę, a rozmijam się z tą którą szukam (*siada na ławce*). Zaczekam tu, może nadejdzie... Do domu muszą tedy przechodzić (*zdejmuje kapelusz i zamyśla się smutnie*). Możeby raczej należało unikać jej nie szukać. Cóż jej wraz z sercem i ręką moją przyniosę?... mierność graniczącą z ubóstwem. Nie zmarniejeż ona, nie zbiedzi-że się w tej gnębiącej atmosferze kłopotów o chleb powszedni?... Ona! — tyle warta aby niepowodzenia i zawody, cierni swoich, w pasmo jej życia nie wplotły (*po chwili milczenia*). Ależ niepowodzenia i zawody czy tylko materialne są?... ależ jej dusza, jej serce łaknąć będzie i dostatki, bogactwa, nie nasycą jej!... A takiej, jak moja miłości, takiego uznania nikt jej nie da (*z uczuciem*) czuję to!... tak jak dla mnie żadna już inna kobieta nie potrafiłaby ją zastąpić. I ta silna sympatja, którą się dusze wyrrywają ku sobie, byłaby tylko chwilowem namiętności upojeniem?... o! nie, nie! świętsze ona namaszczenie ma i nie zatlała w nas tylko na większe ducha męczeństwo.. to niepodobna!!..... miłość taka, to bogactwo z Niebios zesłane dla uczciwych serc — to promień co przebija ziemską zwierzęcości powłokę i bliżej Boga stawia nas i miałaby na cichem tle mierności i pracy przენaturzyć się i zgasnąć?... (*rozgląda się*). Czy mi się zdaje że one idą? — jakieś dwie białe sukienki migają wśród drzew ciemnych... Och! ona, ona!... nie napróżno smętną, nieśmiałą jakąś radością zakolało mi serce (*idzie na przeciw przybywających*).

SCENA 7.

Władysław, Jadwiga, Helena.

HELENA. Nie spotkałeś pan naszego ojca? szukamy go całe rano na przechadze, a spałyśmy jeszcze gdy wyszedł.

WŁADYSŁAW. Widzę, że dziś dzień nie sprzyjający spotkaniom, bo i ja także długo szukałem.

JADWIGA. Szukałeś pan... kogo?

WŁADYSŁAW (*nieco zmieszany*). Tak... kogo co... kogo ze znajomych.

HELENA. Byle kogo? — aby znajomość. No toś pan wcale nie wybredny, bo my tu właśnie uciekały przed jedną znajomością.

JADWIGA. Dajże pokój Helenko — to dawny naszego ojca kolega... Zresztą mało znamy pana Zawilskiego, a śpieszno nam było.

WŁADYSŁAW. Pan to bogaty mówią.

JADWIGA. A pan nam to powtarzasz, jakby to w oczach naszych miało mu dodać wartości. Więc pan sądzisz doprawdy, że nas to olśni łatwo, co zwykle drugim lśni?

WŁADYSŁAW. Nie czynię pani tej krzywdy jednak wyznaję, że gdy mi się ludziom przyjrzyć przychodzi, ich podłym rachubom i mizernym próżnostkom, chwytam mnie czasem za serce niewiara, podejrzliwość jakaś.

JADWIGA. Toby było bardzo brzydko, panie Władysławie, podejrzawać przyjaciół swoich, że oni nie więcej wari od tego tłumu, co się tylko za materialnemi ugania korzyściami i potrzeb ducha nie pojmuje, lub się ich wyrzeka.

WŁADYSŁAW. Nie panią to, jabym między tłum mieszać mógł.

HELENA. Pójdę poszukać niezapominajek (*do siebie*), bo zdaje mi się że bezemnie tu się obejdziesz (*szuka kwiatów tu i owdzie*).

JADWIGA. I nie powiesz pan że wyobrażenia moje, te dążenia ku światłu i prawdzie, gorące dla cnoty uwielbienie, a do podłości gwałtowna odraza, to tylko płomiennej wyobraźni wybryki, które wiek z czasem rozwieje. O! mów-że pan — nie sponiewierasz szyderstwem tych głębokich przekonań moich, bo one także pana są przekonaniami, nieprawdaż?

WŁADYSŁAW. Ja — ja! miałbym szydzić? — Kiedym poznał panią, a myśli jej i zdania wśród rozmowy objawiły mi się, niepojętą zadrzałem radością, bo one harmonijnem echem do moich odzywały się myśli i czułem że nasze dusze nierozzerwanem splatają ogniwem.

JADWIGA. O! dziękuję panu — wsparłeś mnie nieco zwątląłą i chwiejącą się, mężkiego rozumu i przekonania siłą. Już porównywając to co mówili ludzie tak zwani rozsądni, z sądem który się w głębi mej myśli wyrabiał, zapytywałam samę siebie: szalona-że ja i bezużyteczna marzycielka?... ludzie napawali mnie taką goryczą, takim zniechęceniem, że już gotowa była wątpić o sobie, gdy szacunek któregoś mnie pan zaszczycił, przemówił do mnie, zachęta.

I znów myśl moja śmielej się zerwała, py-
szna że ten, którego wysoko postawiła
w swym sądzie, współlucziem towarzyszył
jej. O! tego zapomnieć trudno!

HELENA (*z głębi*). Jadwiniu, patrz, patrz!
ojciec nareszcie (*obie biegną ku ojcu*) idzie.

WŁADYSŁAW (*na przodzie sceny do sie-
bie*). O! Jadwigo — kochasz że ty mnie?

SCENA 8.

Ci sami. Czeski.

HELENA. Wyszliśmy na przechadzkę że-
by ojca spotkać, ale już przeszło godzinę
krążymy w tym lesie.

CZESKI. Oho!... ja już swoje sześć kubków
wypiłem i chodziłem po nich blisko dwie
godziny, a za jaki kwadransik kawybym
się napił.

JADWIGA. Pójdziemy do domu ją przy-
gotować (*odchodzą*).

SCENA 9.

Czeski, Władysław.

CZESKI. A! pan Władysław — jakże wuja
zdrowie?

WŁADYSŁAW. Zdaje się, że lepsze cokol-
wiek, bo już teraz ma sił więcej i po pokoju
przechadzać się może.

CZESKI. A pan go doglądasz z synowską
troskliwością i poświęceniem. Wiemy, wie-
my o tém, bo jeżeli złe prędko się roznosi
to i dobre umieją odszukać i uszanować po-
cziwi ludzie. Nie zbaczaj nigdy z drogi ja-
ką twe życie zacząłeś, panie Władysławie,
a Najwyższy pewno błogosławić ci będzie.

WŁADYSŁAW. Oby to życzenie pana szczę-
śliwą było mi wróżbą (*żegna się i odchodzi*).

SCENA 10.

CZESKI sam (*ogląda się za nim*). Widać
że on jeszcze panny dogonić myśli... Jadwi-
ga jakoś w oko mu wpadła. Cóż z tego kie-
dy jego fundusze tak małe, a ja córkom nie
wiele dać mogę... boć to jeszcze pięciu sy-
nów woła o utrzymanie, o edukację, o za-
pomogę na gospodarstwo i Bóg wie na jak-
ie potrzeby. Choć już dwóch drągłów jest
dorosłych i obiecywali zawsze że na wiel-
kich ludzi wyjdą, a jednak jeszcze siedzą
mi na karku i dotąd nie umieją na małe

utrzymanie zarobić sobie... Władysław to
wcale porządny chłopiec ukształcony i pra-
cowity; żona byłaby z nim szczęśliwą. Może
się też i grosza dorobi, więc Bogu polecić
tę sprawę (*zamyśla się*). Ale trzeba to ru-
szać do domu, bo i głód dokucza (*idzie—
spotykają się z Zawilskim — witają się
z okrzykiem*).

SCENA 11.

Zawilski, Czeski.

CZESKI. Tyżes to panie Alfonsie?

ZAWILSKI. Ja—ja! kochany Piotrze. Wi-
dzisz — jak się nic nie odmieniłem, kiedyś
mnie poznał od razu.

CZESKI. No— trochę też z opisu córek
moich, które cię widziały we Wrocławiu.

ZAWILSKI. Ach! twoje córki — śliczne pa-
nienki!... właśnie co się rozłączyłem z niemi.
Odprowadziłem je do samego domu, ale nie
weszłem dalej, broń Boże! toby było nie-
przyzwoicie.

CZESKI. Mogłeś, doprawdy mogłeś... stary
przyjaciół ojca...

ZAWILSKI. Sza, sza!... co też mówisz, pa-
nie Piotrze! żeby cię kto obcy słyszał my-
ślałby że prawda. Wy żonkosie, ojcowie
dzieciom, tak się zwykle zabiedzicie w tych
familijnych kłopotach, że się już przed cza-
sem za starych macie.

CZESKI. Ależ mój kochany, kiedy kto
ma lat...

ZAWILSKI (*przerywając*). Patrz raczej
przyjaciółu jak ja wyglądam. Aha... widzisz...
co to jest dbać o swoją powierzchowność!

CZESKI. I owszem dbajmy o nią, ale nie
róbmy się śmiesznymi ubliżając wiekowi
przez niedorzeczne....

ZAWILSKI (*przerywając z zarożumiałym
uśmiechem*). Oho! już bądź pewny, że ja so-
bie w niczem nie ubliżę... Co zaś do wieku
mego zostawiłem sąd kobietom. Ich wzglę-
dy są barometrem według którego zdeter-
minuję epokę zaczynającą starość moję —
otóż powiadam ci, do tego czasu szaleją je-
szcze za mną kobiety.

CZESKI (*z ironią*). Wierzę — ten strój
wykwintny, te krucze włosy...

ZAWILSKI. Cudowne!... prawda? nadają
nadmierzają dowcipny wyraz fizjonomji mo-
jej. Jest to, między nami mówiąc, dzieło

sławnego Croisat z Paryża, lecz co komu do tego czy sztuka, czy natura, na mojej je umieściła głowie?

CZESKI (*z uśmiechem*). Zapewne, kiedy panny z uwielbieniem na tę głowę spoglądają.

ZAWILSKI. Śmiesz się Piotrusiu — no zobaczysz — sam się przekonasz, że ja się myślę usatkwować, bom sobie dał słowo honoru, że w tym roku koniecznie się ożenię.

CZESKI. Doprawdy?

ZAWILSKI (*wesoło*). Tak, tak — dobra to wiadomość dla was rodziców mających córki na wydaniu, nieprawdaż?

CZESKI (*na stronie*). O! ślepa zarozumiałości. (*głośno*) Trudno żeby się to mnie tyczyło, bo moje córki bardzo jeszcze młode.

ZAWILSKI. W jakimże wieku?

CZESKI. Starsza ma lat dwadzieścia cztery.

ZAWILSKI. I tę nazywasz bardzo młodą!... ja znam w tym wieku już rozwódki po dwóch mężach.

CZESKI. Ależ w porównaniu do ciebie kochanku, to ona jeszcze bardzo młoda, bo, zdaje mi się, że jeżeli się dobrze obliczymy, to pokaże się że tyś odemnie jakie lat kilka...

ZAWILSKI (*przerwywając*). Panie Piotrze! wyznaję że na tobie znać starość, bo zrzedzisz i zapominasz wszelkich przyjaźni względów. Mójkochany, ja ci powiadam, że daleko młodsze kobiety na złe języki ludzkie narażały się dla mnie, słowem tak mnie rozbałamuciła ta czarodziejska rodu ludzkiego połowa, że dziś wydaje mi się niepodobnym pocałować kobietę, która ma więcej nad lat piętnaście.

CZESKI. To poszukaj sobie dwunastoletniej żony.

ZAWILSKI. A twoja młodsza córka ile ma?

CZESKI. Szesnaście — może też już stara, co?

ZAWILSKI. No — nie jeszcze, śliczny pączek, szesnaście latek — cacko!... zaraz to poznałem. Jest w niej coś tak *piquant*. O! to się zaraz czuje.

CZESKI. Mogłaby być twoją wnuczką.

ZAWILSKI. Alboż to ja pierwszy na świecie żeniłbym się z panną, któraby mogła być wnuczką swego męża?

CZESKI. A jak kończą najczęściej te ofiary zmysłowości, jak i równie te biedne ofiary im zaprzędane?

ZAWILSKI. Ja się nigdy nie pytam o koniec tylko o początek.

CZESKI. Rób jak chcesz — do zobaczenia (*chce odejść*).

ZAWILSKI (*zatrzymując go*). Dąsasz się Piotrusiu?

CZESKI. Bynajmniej — o cóżby?... głodny jestem i na kawę śpieszę.

ZAWILSKI. Mam cię prosić o jedną łaskę.

CZESKI. Mnie?

ZAWILSKI. O szczęście całego życia.

CZESKI. Mówże.

ZAWILSKI. Ożeń mnie z twoją córką.

CZESKI. Może jeszcze z tém dzieckiem — z Helenką?

ZAWILSKI. Nie, już nie — widzę żebyś mi ję nie dał, ale o Jadwigę spodziewam się, że mogę starać się śmiało.

CZESKI. Wątpię żeby cię chciała.

ZAWILSKI. Panie Piotrze, co ty o mnie masz za wyobrażenie! Czy nie znasz moich dóbr w Kaliskiem? Na Podolu po matce mam drugie — przytém dwa domy w Warszawie, dwakroć sto tysięcy na Banku. Moja żona będzie jeździła angielską kareta, wyda co zechce sama na stroje, przytém zapiszę ję trzykroć sto tysięcy. He?... to niedrobnostka.

CZESKI. Zapewne — zapewne. Wiem żeś był zawsze chłopak dobrego serca i majątny — pod tym względem nie ma ci nic do zarzucenia. Ale nie wiem czy potrafisz podobać się Jadwidze.

ZAWILSKI. To moja rzecz... daj mi tylko słowo, że mi przeszkadzać nie będziesz i że po tygodniu pilnych zalecanek moich, objawisz ję me zamiary z tym rozsądkiem i troskliwością o przyszły los dziecka, jakie dobry ojciec mieć powinien.

CZESKI. Słuchaj no bratku — nie ucz mnie jak mam być dobrym ojcem, bo ja tę naukę w sercu swoim, a nie w światowych znajduję względach. Jadwiga postąpi jak sama zechce.

ZAWILSKI (*na stronie*). Przebiegły! zdraga się, żeby mnie jeszcze bardziej zapalić (*głośno*). Ależ mi nie będziesz psuł interesów, Piotrusiu i powiesz ję wszystko co dobrego za mną powiedzieć się może?

CZESKI. Powiem kiedy tego chcesz.

ZAWILSKI. Dajesz mi na to słowo?

CZESKI. Daję, daję (*na stronie*). Bo już mi też i pilno pozbyć się ciebie (*żegna się*).

SCENA 12.

ZAWILSKI (*sam*). Panna w trzecim krzyżu życia nie chciałaby mnie... jabym temu wierzył!... One wszystkie o niczym nie myślą, tylko żeby za mąż się wydać i sądzić że mąż taki, który zawiezie do pałacu, karetą!... odrzuconym będzie. Żeby on był nawet pradziadkiem, mniejsza o to!... Bo i któż, proszę, patrząc na mnie domyśli się wieku mego... daliby mi najwięcej tak.... trzydzieści do czterdziestu najwięcej.... co najwięcej!... Włosy tak czarne.... żeby tak białe.... A jak się jeszcze uwezmę żeby ją rozkocharać, to jęj się serce z miłości rozplynie, nieboracze!

KONIEC AKTU I-go.

HELENA (*figlarnie*). Może — ale nie dla mnie on tu przychodzi.

JADWIGA. Dla ojca.

HELENA. Nie zupełnie — niby też to ty się nie domyślasz.

JADWIGA. Czego?

HELENA. Że on tu bywa w celu zdobywczym, występuje jako konkurent o twoją rękę.

JADWIGA. O! trzpiocie — co ci się też roi! pan Zawilski dawny ojca przyjaciel, chętnie też z nami przestaje, a że to kawaler dawniej daty, zdaje mu się więc konieczne, że trzeba konplementów i nadskakiwań, ażeby nas godnie uczcić.

HELENA. Ja zaś co innego w tém widzę i zobaczymy czyja będzie prawda. Lecz kie-



któraż więc moja?...

AKT II.

Scena przedstawia pokój w mieszkaniu Czeskiego.

Panny siedzą przy stoliku zajęte robotą.

SCENA 1.

Jadwiga, Helena.

HELENA. Że też to pan Zawilski jeszcze dzisiaj nie był?

JADWIGA (*z uśmiechem*). Czy ci za nim tęskno?

dy kto tak jak moja siostrzyczka, o czym inném, czy o kim innym myśli....

JADWIGA (*ze śmiechem*). Ale przyznajże Helenko, że gdyby się nawet o niczym i o nikim nie myślało, trudno wziąć starania takie na serio.

HELENA. Zwłaszcza kto tak gustuje w rozmowie z panem Władysławem....

JADWIGA. Zapewne — taki znieść nie może andronów podstarzałego szarmana. Co zaś do pana Władysława — czy się tai-

łam kiedy, że to człowiek, który najwyższy mój posiada szacunek?

HELENA. Szacunek tylko? — to coś tak zimnego, szacunek.

JADWIGA. Oj! nie mów tego Helenko droga; szacunek to najtrwalsze uczucie, to uczczenie należytém ocenieniem ludzi, którzy tego warci nazwiska. Wyraz — na którego wielkie znaczenie dla tego chyba tak obojętni jesteśmy, żeśmy go za nadto w używaniu sponiewierali i piszemy się dla każdego bazwarunkowo, na końcu listu z najwyższym szacunkiem.

HELENA. Bądź co bądź, mnie zawsze na myśli stoi pan Zawilski, który wyraźnie pragnie cię uszczęśliwić darem swęj ręki, a jak ty go nie zechcesz, to chyba się do mnie obróci (*śmieją się obie*). Jakby to było zabawne! (*zrywa się od stolika i przechadza po pokoju przedrzeźniając pana Zawilskiego*). Idą sobie państwo baronostwo Zawilscy, trzymając się pod ręce. Baron sztu kut, sztu kut, a baronowa strzela oczyma na wszystkie strony. Byłby to prawdziwie stary wóz w szalone konie — jakbym zaczęła biegać, tobym go pewno do reszty okulaowała (*obraca się i widzi Zawilskiego który tylko co wszedł*). Ach!!

SCENA 2.

Te same, Zawilski.

ZAWILSKI. Cóż tak pani wesoło wyskakujesz, anielska Heleno?

HELENA (*śmiejąc się*). Probuje sobie lansirera. Czy pan lubisz ten taniec.

ZAWILSKI. Szalenie!.. a jeszcze tańcząc z piękną kobietą (*wita się w śmiesznych podrygach z Jadwigą i siada przy niej*).

HELENA (*na stronie*). On tańczy! — a dopierożbym to widziéć chciała!

ZAWILSKI. Panie będą w tym tygodniu na *réunion*?

JADWIGA. Nie wiemy jeszcze.

ZAWILSKI. Bądźcie panie koniecznie. Bywają to czasem ładne zabawy, ale gdyby was tam zbrakło, byłby to tylko Olimp bez Wenery.

HELENA (*przybiegając ze śmiechem*). Która Wenera panie baronie, mówże pan, która Wenera? — rzucasz pan między nas jabłko niezgody.

ZAWILSKI (*zrywając się z krzesła*). Oj! ty czarodziejko potężniejsza nad grecką Helenę, jakżebyś chętnie ucałował choć ten najmniejszy twój paluszek!..

HELENA (*ze śmiechem*). Masz pan! wszystkie dziesięć (*podnosi ku niemu ręce z rozłożonemi palcami; kiedy Zawilski wyciąga usta aby je pocałować, ona zawraca się zrzęcznie i ucieka*).

ZAWILSKI. Jak Rusalka zwodnicza... wymknęła mi się.

JADWIGA (*wstaje z krzesła i głosem strofującym*). Helenko!

HELENA (*półgłosem*). No i cóż? czy się boisz o spokojność moję? Nie bój się — nie kochamy tych których lekceważymy.

JADWIGA. Uszanuj wiek.

HELENA. A czemuż go sam nie szanuje?

ZAWILSKI (*do siebie*). Siostry gotowe o mnie się pokłócić.

JADWIGA (*idąc ku Zawilskiemu*). Wiadziałeś się pan z naszym ojcem.

ZAWILSKI. Nie — dziś jeszcze się z nim nie widziałem.

JADWIGA. Czy pan razem z ojcem byłeś w wojsku?

ZAWILSKI. Nie — to jest tak, ja byłem w wojsku, o! byłem. Miałem śliczny mundur cały złotem szamerowany, długi pałasz co wlokąc się za mną rycerski brzęk robił po bruku, a że byłem jak lew odważny, więc trzymałem się najczęściej miast, dla czuwania nad płcią słabszą, która w nich pozostała, a dla której ja zawsze życie poświęcić gotów.

HELENA (*do uśmiechającej się Jadwigi z komiczném podziwieniem*). Co za bohaterkie usposobienie!

ZAWILSKI (*nie czując żartu*). O! ja mam gusta nadzwyczaj wojownicze. Wyobraźcie sobie panie, że jeden z dworów wiejskich w dobrach moich, przerobiłem w zamek obronny.

HELENA. W zamek obronny — jakże to piękne być musi!

ZAWILSKI. Tak pani — zamek z wałami, ze zwodzonym mostem i z wieżami dwoma. Jak tam jestem, sądę się przeniesionym w czasy średniowieczne. Wazalowie schodzą się do mnie opowiadać krzywdy swoje, a ja im sprawiedliwość wymierzam. To na honor! wspaniały widok, nie nie brakuje

tylko (*z przymileniem do Jadwigi*) pani, władczyni w tym zamku.

JADWIGA. Wątpię żeby która z dzisiejszych kobiet chciała się podjąć téj roli.

HELENA. Jadwiniu, czego odbierasz panu baronowi nadzieję.

ZAWILSKI. Tak — to okrucieństwo ze strony pani (*z przymileniem*) kiedy ja wiem że nie jesteś tak sroga. Nieprawdaż?... ten uśmiech mi to mówi. (*żegna się całując ich ręce*). Do stópek panów się ściele — żegniam ich, gdyż muszę iść na pocztę gdzie pilnych spodziewam się przesyłek, a nimby dopytali się o mnie te Niemcy... Żegniam zatem, aczkolwiek ze srogim żalem, panie moje... ich najniższy, najpokorniejszy sługa. (*wychodzi*).

HELENA. Żegniam. (*biegnie za nim aby się przekonać czy wyszedł i wraca ze uśmiechem*). A widzisz — widzisz! nie mówiłam ci?

SCENA 3.

Jadwiga, Helena, Czeski.

CZESKI (*wchodząc*). Cóżś jój mówiła trzpiotko?

HELENA (*oglądając się*). Ah! ojciec — nie — ja tylko mówiłam Jadwini, że pan Zawilski taki uprzejmy, taki nadskakujący, jakby się o jój rękę starał.

CZESKI. I prawdę mówiłaś.

razem { JADWIGA. Czy podobna?
HELENA. Aha! jakem zgadła...

CZESKI (*do Jadwigi*). Prosił mnie o twoją rękę, oraz o wstawienie się za nim do ciebie.

JADWIGA (*z oburzeniem*). I ty mój ojciec obiecałeś?

CZESKI. Obiecałem tylko objawić ci jego chęci, ale namawiać bynajmniej.

JADWIGA (*całując go w rękę*). Dziękuję ci ojciec — ty za nadto mnie kochasz, abyś mógł do podobnego namawiać związku.

CZESKI. Moje dziecię — nic hańbiącego nie byłoby w tym związku, bo to nie jest zły człowiek.

JADWIGA. Cóż złąd że nie zupełnie zły — może dla tego że nie kradnie i nie rozbija; wielu jest takich, a przecież nie warci naszego szacunku.

CZESKI. Wierz mi, że on nawet nikomu rozmyślnie żadnej nie uczynił przykrości.

JADWIGA. A wieluż takich co nierozmyślnie życie nam truje?

HELENA (*z uśmiechem*). Przypomnij pan baron ma mulutką wadę w nodze.

CZESKI. Helenko! zwracaj lepiej tak baczną uwagę na swoje wady, niż na cudze. Nie godzi się chwytać śmiesznej strony cierpienia.

HELENA (*z miną zepsutego dziecka*). To kiedy stary kawaler udaje młodzika, nie można nic powiedzieć, to się nie godzi, a kiedy ci panowie najhaniebniejsze potwary rzucają na kobiety, lub swoim żonom nawet dokuczają, to się godzi, co?... Ja tylko chciałabym oddać wet za wet.

CZESKI (*z uśmiechem*). Złośliwa dziewczyno, nie przeszkadzaj nam (*do Jadwigi*). Ty zaś, moje dziecko, postąpisz jak ci się podoba, winienem tylko zwrócić twoją uwagę na to, że byt materialny jest podstawą spokojności życia i że ono nie jest wesołą piosenką, ale bardzo często dysharmonijnym koncertem, którym zagłuszają i męczą biedną duszę naszą, niepowodzenia, choroby, potrzeby codzienne.

JADWIGA. Czy myślisz mój ojciec, że dotąd nie zbadała już trochę życia i nie wiem, że nie podobna karmić się samą poezją i uczuciem, ale wiem także że praca i pocziwe usiłowania człowieka cuda robią, a wszystkie szlachetne uczucia, które są serc naszych rozkoszą i ochłodą, cnota nawet sama, najzwyczajniej wśród mierności obiera sobie siedlisko.

CZESKI. Może — lecz nie wśród biedy, bo ta wiele szlachetności i cnoty zagłuszyć zdolna. Wiesz, że mój majątek jest mały, głównym dochodem pensja, która wraz z mém życiem ustanie — was zaś siedmioro. A pan Zawilski jest w stanie usunąć od żony swojej wszystkie materialne kłopoty, ma bowiem znaczny majątek; przypomnij, obiecuje zapisać trzykroć sto tysięcy.

JADWIGA. Nic to wszystko mnie nie nęci, mój ojciec kochany i odmawiam stanowczo, bo czuję że przyjmując, zrobiłabym dwoje nieszczęśliwych. Nie tylko samym chlebem człowiek żyje.....

CZESKI. Rób jak chcesz, moje dziecko; ja mam nadzieję że i tak Bóg cię nie opuści, kiedy jego drogami postępować będziesz (*na stronie*). Nie miałem odwagi wię-

cěj przemawiać do niej za tym śmiesznym starcem.

HELENA (*wesolo*). A więc teraz nie pozostaje mi, jak tylko przygotować dla pana barona wieniec grochowy.

CZESKI. Żadnych żartów, bardzo proszę — tyś nawet wiedzieć o tém wszystkiém nie powinna.

JADWIGA. Mój ojciec, czy zdarzy się co kiedy, czego by się ten figlarz nie domyślał.

HELENA (*półgłosem do Jadwigi*). O! ja się domyślam bardzo wiele. Wiem nawet dla kogo przygotować ślubny bukiet. (*Jadwiga palcem jęj grozi*).

CZESKI. Chodźcie, dziewczeczki moje, przejdziemy się trochę przed obiadem.

SCENA 4.

Zawilski sam.

ZAWILSKI (*do służącej za sceną*). Wyszedł Panie? to nic to nic — ja właśnie kontent, bo im zrobię małą niespodziankę. Dziewczyny do cukierków, to jak pszczoły do miodu..... będziez to radości!... (*kładzie na stoliku duże pudelko z cukrami*). Umyślnie dla niej sprowadziłem z Paryża — spodziewam się, że powinna się poznać na tej grzeczności i należycie ją ocenić, a nie nudzić mnie długimi korowodami (*ustawiawszy przypatruje się zdaleka*). Jak to efektowo wygląda! — wystawiam sobie ich zadziwienie. Wbiegają, patrzą — co to jest?... „ach! to pewno od tego nieznętnego w uprzejmości swęj barona! On wszystko robi po pańsku, nie tak jak młodzieź dzisiejsza” i każda z nich pomyśli sobie w duchu: „O! żeby go też dostać na męża!...” Ale cóż robić, moja biędna Helenko musisz ustąpić starszęj pierwszeństwa, choć doprawdy do ciebie zarówno lgnie serce moje. Twoje szesnasto-letnie wdzięki tak mnie nęca!... twoja buzia słodsza być musi od wszystkich w świecie cukierków!...

SCENA 5.

Zawilski, Mężyczka.

MĘŻYCZKA (*podchodząc nieznacznie*). O jakiej to buzi tak marzysz baronie — jakież wspomnienia obległy cię w tej chwili?

ZAWILSKI (*jakby zbudzony*). Kto to? co? — ach!... to pani (*z urazą*), dla czegożby tylko wspomnienia, może też dopiero nadzieje...

MĘŻYCZKA (*z uśmiechem*). Nadzieje — więc to dopiero nadzieje! ja zatem wcale nie w porę mojem przybyciem marzenia pańskie przerwałam.

ZAWILSKI. I owszem, i owszem — bardzo mi miło — bardzo w porę. Pani właśnie tu przybyłaś jak gdyby... jak... jak urzeczywistnienie tych nadziei.

MĘŻYCZKA (*do siebie*). Spodziewałam się tego. W całym Marjenbadzie nie ma stosowniejszęj odemnie dla niego partji (*zbliżając się do Zawilskiego*). Mów pan szczerze — ja tak lubię otwartość!

ZAWILSKI. Jeszcze teraz nie czas być otwartym. Ja tylko w tej chwili chciałem pani o łaskawą prosić radę.

MĘŻYCZKA (*z przymileniem*). Mów baronie. — Możnaż ci odmówić czego (*Zawilski całuje ją w rękę*).

ZAWILSKI. Chciałem się tylko pani poradzić, względem upominków, jakiebyś chciał zrobić osobie, która... to jest....

MĘŻYCZKA (*przerwywając*). Szanuję twoją tajemnicę baronie, póki ci się podoba jęj nie odkryć. Czy bardzo młoda jest ta osoba?

ZAWILSKI. Nie pierwszęj już wiosny, ale jeszcze w całej pełni wdzięków.

MĘŻYCZKA (*do siebie*). Oczęwiście że o mnie mówi. (*głósno*) A jęj wzrost — jęj postawa.

ZAWILSKI. Wspaniała i gracji pełna.

MĘŻYCZKA. Jęj oczy?

ZAWILSKI. Jakimś smętnym, a uroczym ogniem płoną.

MĘŻYCZKA (*do siebie*). To ja wyraźnie, według tego rysopisu omylić się nie można. (*głósno*) Ileż na te podarki przeznaczasz baronie.

ZAWILSKI. Pani!... ja, kiedy idzie o tę pleć czarowną, nie rachuję nigdy.

MĘŻYCZKA. Znać zaraz w tém pański animusz. Pomyślę ja z rozwągą coby kupić wypadało, dziś zaś wieczór czekam cię kochany baronie! Dam ci wszystko spisane na karteczce i pogawędzimy sobie jaką miłą chwilę. (*Zawilski całuje znowu jęj rękę*). Idę przejść się trochę — może gdzie się spotkam z pannami Czeskimi, które zawsze

ojciec włóczy po górach, tak że ich nigdy zastać w domu nie można (*wychodzi*).

SCENA 6.

Zawilski, potem Władysław.

ZAWILSKI. Ale to wcale nie szpetna kobiątka! .. Nie jest to już naturalnie pączek, ale róża rozkwitła, ba! dobrze rozkwitła, jednak zawsze powabna. Oj! te kobiety — one mi serce na cząsteczki rozerwą, tak je wszystkie kocham, a zawsze tę najbardziej, na którą patrzę.

WŁADYSŁAW. Podobno jeszcze panie nie wróciły z przechadzki.

ZAWILSKI. Nie jeszcze — ach! panie Władysławie, los opatrzny zsyła mi ciebie w tej chwili (*biorąc go za ręce*). Korzystajmy z czasu, prędko, prędko! naucz mnie lansiera.

WŁADYSŁAW. Żartujesz pan. Ja mam pana uczyć tańca, który tylko...

ZAWILSKI (*przerywając*). Nie bądź tak skromnym, ja wiem że nauczysz jak chcesz, ty — taki zawołany tancerz.

WŁADYSŁAW. Ale ja właśnie przez uszanowanie dla....

ZAWILSKI (*przerywając*). Przez uszanowanie chciałbyś mi dać lepszego metra. Dobrze, dobrze, — ale ja i takiego przyjmuję, żeby się nauczyć na przyszłą zabawę, bo chcę, żeby nasze panie dużo tańczyły.

WŁADYSŁAW (*z zadziwieniem*). Z panem?

ZAWILSKI. No — z nami wszystkimi, ja nie jestem znowu tak zazdrosny. A jakoś teraz do tańca, aż mi się nogi rwą (*podskakuje koło Władysława*). Dalej, Dalej! nim panny nadejdą.

WŁADYSŁAW (*na stronie śmiejąc się*). Właśnie chciałbym im sprawić tę zabawkę. (*głośno*) Więc służę panu, (*pokazuje*) Nogą sunąć potem rzucić.

ZAWILSKI (*probuje — jedną nogą sunąć, drugą wyrzuca*). Sunąć, potem rzucić.

WŁADYSŁAW. Ale nie tak! — tą nogą którą się posuwało naprzód... (*bierze go i z nim razem tańczy śmiesznie, oglądając się na drzwi*) A czemuż te panny nie wracają!

ZAWILSKI (*zdyszany*). Prawdę mówiąc... a!... tobym nie chciał żeby zaraz wróciły... bo to kto się uczy, nie może jeszcze roz-

winąć wiele gracji, a okazać się w niekorzystnym świetle przed narzeczoną.

WŁADYSŁAW. Co?... narzeczoną!... która? — jaka narzeczoną?

ZAWILSKI. A cóż!... młodziej by mi nie dał stary Czeski, więc starszą kontentować się będę musiał.

WŁADYSŁAW (*z wybuchem*). Jadwiga! Jadwiga!...

ZAWILSKI. Czegóż tak krzyczysz? Ja właśnie kiedym się już tak niepotrzebnie wygadał, chciałem cię prosić o zachowanie tajemnicy do czasu, kiedy... to jest... choć jestem tego pewny... ale zawsze...

WŁADYSŁAW (*z oburzeniem przerywając*). Zamiast się tęp chwalić, szczycić, pyśnić — on jeszcze chce tajemnicy. (*odchodzi na stronę*) Słyszałyż dobrze uszy moje? Jadwiga żoną tego śmiesznego starca dla jego pieniędzy. Ona — którą w sercu mojem tak wysoko nad tłum wyniosłem i uczciłem jak świętą! ona — zapierająca się dotychczasowych uczuć i opinii, aby się sprzedać nikczemnie!... Tak robi prawda, wiele kobiet, lecz ona... ona!!... (*po chwili milczenia*). Bo jeszcze byłoby do zniesienia nie potrafić jej miłości zeskarbić sobie, ależ szanować jej nie móżdż!!.... (*po chwili, ciszej i smutniej*). Lecz mamże o co upominać się prawo?... cóż mi przyrzekła?... mówiłemże jej kiedy o przywiązaniu mojem?... więc poszła za tym głosem świata, głosem nikczemnej rachuby którzy ludzie głosem rozsądku zowią, i... i... och! o tęp myśleć — nad siły moje! (*wychodzi*).

ZAWILSKI (*który przez ten czas to tańca próbował, to na Władysława poglądał*). Co on sobie deklamował pod nosem?... aha! już wiem — on pewno literat!... to są zwykłe ludzie do niczego, dla tego on mnie też nawet lansiera nauczyć nie mógł (*wychodzi*).

SCENA 7.

Helena sama.

HELENA (*skradając się i zaglądając*). Zdaje mi się że wyszedł.... aha! nie ma go już przecie (*zbliża się do stolika*). Co to za pudełko?... cukierki! któż je tu postawił?... Zawilski pewno... Mądrze zrobił — To najwymowniejszy dowód jego uczuć, który się i mnie na coś przyda (*bierze pu-*

delko i przechadza się wyjadając cukierki). Dobrze — dobre — przedziwne! zna się choć na tém baronek... Jadwiniu! Jadwiniu! chodź no tu prędko.

SCENA 8.

Helena, Jadwiga.

HELENA. Patrz!... jako dowód miłości, Zawilski złożył wyborne cukry na stoliku naszym.

JADWIGA. Pfe! — ty jész?

HELENA. Naturalnie — przecież nie za-trute.

JADWIGA. Mnie one brzydzą jak cała je-go osoba.

HELENA. A ja umiem roztropnie oddzie-lić osobę od cukierków i oddać co komu na-leży. (*Służący wnosi paczkę i oddaje Ja-dwidze.*)

JADWIGA. Co to jest? — list od pana Władysława (*czyta głośno*). „Odsyłam książkę, którą mi pani pożyczyła, bo wy-znaję, że jako pani własność jest mi ona ciąglem a bolesném przypomnieniem. Do-wiedziałem się, że pani idziesz za barona Zawilskiego. Jest czego powinszować — człowiek bardzo majątny i że jego intencje odmieniły sposób myślenia pani, rzecz słuszna zapewne. Ale dziwić się tu ubogim lu-dziom, co za pieniędzmi wzdychają, kiedy te pieniądze dać mogą, tyle szczęścia!!!!” (*przeczytałwszy, zalamuje ręce*). On temu uwierzył!... on mnie ceni tak nisko!! (*siada przy stoliku podpierając głowę ręką*). Al-boż Władysław mnie kocha tak, jak ja go? Nie wierzy we mnie — nie ufa mi — Po-sadzić żebym się sprzedała — to haniebnie!!

HELENA (*zbliżając się ze współuczuci-em*). Co ci jest, Jadwiniu droga? — ty płaczesz.

JADWIGA (*podnosząc głowę*). Ja? płaczę — bynajmniej. Czegoż płakać?... rzecz zwyczajna — tak zwykle pojmują biedne nasze serce kobiety. (*z rozżaleniem*) Mierzą cię według zwykłej światowej skali, a choćbyś komu w jakimś ufności omamieniu, wypowiadała najgłębsze duszy swojej tajemki, zada ci kłamstwo ten właśnie w któ-regoś uwierzyła, którego szacunek stał się dla ciebie potrzebą — życiem!

HELENA. O, mój Boże! — jakże ten szacunek któryś dała panu Władysławowi dro-go cię kosztuje! (*klękając przed nią i całując jej ręce*). Czegoż kryjesz się przedemną, biedna siostruniu — czego nie dasz z sobą popłakać?... Nie mamy matki, komuż więc wypowiedzieć utrapienie które ciężko leży na sercu Czyż mnie masz za takie płochę dziecko, że i smutku twego podzie-lić nie potrafisz?

JADWIGA (*tuląc ją do siebie*). Dziękuję ci za twoje przywiązanie; o! czemuż ono nie wystarcza mi!... Ale jakże się tu nie smucić?... być posądzoną, że idę za tego śmiesznego starca, którego bym raczej dała wróblom na straszdyło, niż porządną ko-bięcie na męża, i być posądzoną przez pana Władysława, który mną już tak zapewne pogardza, że mnie unikać będzie, że wyje-dzie co prędzej z Marjenbadu i (*z boleścią*) już nigdy nie spotkamy się w życiu.

HELENA. Czy tylko o tyle idzie?... to śmiej się z tego. Da się wszystko naprawić.

JADWIGA. Tak — śmiej się. Nie tak to łatwo śmiać się, gdy kto cierpi. Ale słusznie robisz, nieświadome dziecko, śmiej się śmiej się póki możesz, zawsze; co widzimy wokoło nas nie warte jak szyderstwa. (*z roz-żaleniem*) Śmiej się ze świata, z ludzi — śmiej się ze wszystkiego (*odchodzi*).

SCENA 9.

HELENA (*sama*). Nie mam ja tam już teraz i ochoty śmiać się, chociaż przecz-uam że się wszystko dobrze skończy musi, że pan Władysław ztąd nie wyjedzie, bo ma chorego wuja — że musimy mieć wesele, a ten kławy dandy weźmie po nosie, za to że śmiał oczy podnieść na moją siostrę.... Żeby to tylko móżdż uwiadomić Władysła-wa, że ów projekt małżeństwa, jest wymy-słem tej stariej, próżnej mózgownicy (*spo-strzega przechodzącą Mężyczkę*). Ale otóż w samą porę przybywa mi pomoc zręcznej kobiety. (*idzie na przeciw niej i wita*).

SCENA 10.

Mężyczka, Helena.

MEŻYCZKA. Jak się masz aniołku? — gdzie siostra?

HELENA. Zajęta swemi kłopotami—bo—trzeba pani wiedzieć, że o nią oświadczył się pewien pan...

MEŻYCKA. Doprawdy! — winszuję, winszuję!

HELENA. Alboż małżeństwa można winszować przed ślubem?

MEŻYCKA. Kobięcie— zawsze jest czego winszować, bo dla niej małżeństwo to pozycja w świecie, jeżeli nie chleb i utrzymanie. To coś niby urząd— posada mniej więcej zyskowna.

HELENA. To jest krótko mówiąc— finansowa spekulacja — czy tak?

MEŻYCKA. Kiedyżbo moje panienki, macie zwyczaj przesadzać wszystko. Na koleje tego prozaicznego życia, nie można z poetycznego zapatrywać się stanowiska. Ja mogę to sobie przyznać, że zawsze bardzo była rozsądną— żadne romansowe marzenia nie zwracały mi głowy, to też kiedy nie jedna z moich rówieśniczek panną na całe życie została, ja miałam aż trzech mężów i uszczęśliwiłam każdego.

HELENA (*ze śmiechem*). A ja właśnie myślę, żeś pani za nadto rozsądną być musiała, kiedy od pani tak prędko mężowie na tamten świat uciekali.

MEŻYCKA (*groźno*). Ej że! żeby cię Pan Bóg nie skarał i od ciebie nie uciekali konkurenci, co by było daleko gorsze... Przypadki jakieś nieszczęśliwe zabierały mi zawsze mężów moich. Po śmierci drugiego byłam tak skolatana, tak smutna, że mi się zaprzysięgła wierna mu pozostać. Gdzie tam!... zapisano było widać inaczej, bo w rok potem odprawiłam wesele.

HELENA. A od śmierci trzeciego męża pani, ile upłynęło?

MEŻYCKA (*wzdychając*). Już dwa lata!

HELENA. No to pora czwarte wyprawić wesele.

MEŻYCKA. Śmiejesz się—bo jeszcze tego dziś nie rozumiesz co to być kobięcie samej, opuszczonej! Jęj zawsze potrzeba podpory (*wzdycha ciężko*).

HELENA (*na stronie*). Mnie się zdaje, że onaby i tę kulawą podporę wzięła.

MEŻYCKA. Muszę to wszystko powiedzieć twojej siostrze, która mnie lepiej pojmie od ciebie, trzpiocie! Ale nie mówiłaś mi też jeszcze kto się o nią stara?

HELENA. Zgadnij pani kto śmiał się do tego posunąć?

MEŻYCKA. Kto śmiał?... ej!... to już wiem To pewno pan Władysław.

HELENA. Owszem — gdyby to był on, nie dziwilibyśmy się wcale. Spojrzeć na niego i na Jadwigę, to widać zaraz że ich Pan Bóg dla siebie stworzył.

MEŻYCKA. Zawsze byłaby to śmiałość z jego strony, prosić o rękę panny, której na stopie do jakiej nawykła, utrzymać nie może. Lecz mówże — kto się oświadczył?

HELENA. Pan Zawilski.

MEŻYCKA (*z zadziwieniem*). Zawilski?... baron! ten... (*na stronie*) zdrajca!... to nie dla siebie te tyftyki, te perły podyktowałam!

HELENA. Ot! ja widzę że i panią samą bardziej jeszcze dziwi i gorszy wiadomość że to nie Władysław, ale stary Zawilski oświadczył się o Jadwinę.

MEŻYCKA. A onaby może wołała młodego?

HELENA. No -- czy to się o to pytać.

MEŻYCKA. Jak jęj zacząć doradzać jak namawiać wezmą, to może i pójdzie za Zawilskiego, co?

HELENA. Nie! — między nami nie znajdzie tak rozsądnych doradców.

MEŻYCKA. Widziałam dopiero co pana Władysława siedzącego bardzo smutnie na ławce. Jemu twoja siostra mocno się podobala i pewno się dowiedział, że mu ją chcą zabrać.

HELENA. Jak mógłby przypuszczać, żeby pomiędzy Zawilskim a nim, Jadwiga...

MEŻYCKA (*podchwytnie*). Jego nie wybrała.

HELENA. A zapewne.

MEŻYCKA. Ależ on nieśmiały, nieborak! jak rozkochany, zwyczajnie. Ta para bardzo mnie zajmować zaczyna — trzeba ich koniecznie połączyć. Masz słuszość, oni dla siebie stworzeni.

HELENA. Pani to teraz znajdujesz.

MEŻYCKA. Tyś mnie przekonała. Tak miło patrzeć na kochającą się parę. Widok smutku Władysława tak mi dojął do głębi serca, że pragnęłabym pocieszyć go — powiedzieć mu: bądź dobrej myśli, i biegnę...

HELENA. Ależ pani...

MĘŻYCKA. Nie zważając na to, co mi powie-
dziedzić możesz, biegnę. Tak miło zrobić
przysługę drugim (*na stronie*) i sobie.

SCENA 11.

Helena sama.

HELENA. Właśnie ja też tego chciałam,
tylko się trzeba trochę podrożyć. Bo i po
coż zostawiać ich dwoje smutnych, każde
nie wiedząc o drugim?... Nicch tam wdó-
wka co chce gada, byle tylko moja Jadwina
była szczęśliwa (*wychodzi*).

SCENA 12.

Władysław sam.

WŁADYSŁAW (*wchodzi oglądając się*). Nie
ma nikogo — może tu ja wcale niepotrzeb-
nym gościem, może ta kobieta żartowała
sobie ze mnie tylko i rzuciła jakąś nadzieję,
żeby mieć śmiać się z czego potem.... Ale
od tych kilku godzin myśli moje są tak
splątane, że nie wiem co robię — przysze-
dłem więc, aby z ust jej prawdy się dowie-
dzić.... Ja ją może spotwarzałem w méni
sercu .. och! jam jej nie godny...

SCENA 13.

Władysław, Jadwiga.

JADWIGA. Pan — Pan tu!

WŁADYSŁAW. Znajdujesz pani moją tu
bytność zbyteczną?

JADWIGA. Ja! — pan wiesz, że nie. Lecz
cóż znaczyła ta dzisiejsza kartka przyłączo-
na do książki?

WŁADYSŁAW (*z boleścią*). Alboż ja wiem...
byłem wtedy jak szalony!

JADWIGA (*zbliżając się do niego*). Po-
wiedz mi pan — tak, śmiało patrząc mi
w oczy, czy wierzysz zupełnie, jako ja —
ja! której sposób myślenia znasz przecie
mogłabym przez chciwość, dla świetniej-
szej trochę światowej pozycji, pójść za śmie-
sznego starca, którego lekceważę??

WŁADYSŁAW. O! nie — nie pani — jak
patrzę w oczy twoje z których taka go-
dność i szlachetność promienieje, nie wierzę!

JADWIGA (*spuszczszy głowę*). I czemuż
było obrażać mnie i... martwić podejrze-
niem takim?

WŁADYSŁAW. Przebacz pani — na tę
wiadomość wszystkie wyobrażenia zmaciły
się w głowie mojej... cierpiałem tyle!... Do-
wiedzieć się, że osoba w której się położyło
wszystkie ziemskiego szczęścia nadzieje,
którą się tak czciło, że się jej nie śmiało
rzec dotąd: bądź moja! dowiedzieć się, że
nam będzie wydartą przez innego dla tego
że bogaty, o! — to niepodobna nie zapłakać
nad tym straconym duszy swój aniołem.

JADWIGA. Mógłżeś pan cenić tak nisko
i mnie i siebie? — przypuścić że mi tak ła-
two iść będzie za innego, a jeszcze — za
takiego barona...

SCENA 14.

Ci sami. Czeski.

CZESKI. Ach prawda. Chodziłem z nim
dopiero co i tyle mi niedorzeczności na-
gadał, że mi cierpliwości zbrakło i zawsty-
dziłem się, że mogłem kiedy słuchać z zimną
krwią, jak on mi się o ciebie oświadczał.

JADWIGA. Lecz teraz powiedziałeś mi
przecie mój ojciec, żeby nie nudził więcej?

CZESKI. Powiedziałem — chciałem to ja-
koś zrobić delikatnie, ale takiemu ślepemu
zarozumialcowi, pokaż co czarno na białym,
to on jeszcze nie uwierzy.

JADWIGA (*z uśmiechem do Władysława*).
Widzi pan — wartoby od niego nauczyć się,
żeby nie wierzyć tak zaraz od razu, w złe
szczególniej.

CZESKI (*do Jadwigi*). Ale cóż ci tu mó-
wił pan Władysław?

WŁADYSŁAW. Chciałem mówić to, co te-
raz przy panu z równą powiem nieśmia-
łością; powierz mi los twój pani, zaufaj mi,
nie gardź ręką moją...

JADWIGA. Ja, wzgardzić!... przyjmuję —
i wierzę że jeżeli promyk prawdziwego
szczęścia, może kiedy błysnąć wśród ziem-
skiego żywota, to on mi świecić będzie
z przywiązania twego.

WŁADYSŁAW (*z zapalem*). Dziękuję ci
Jadwigo. Nieprawdaż? nam musi być do-
brze razem i będzie dobrze! Jakaś harmo-
nija od pierwszego poznania skłaniała dusze
nasze ku sobie, więc wewnętrzném szczę-
ściem bogaci, potrafimy materialnie na ma-
łym ograniczać się. A jeżeli nas odepchną
tacy, co nędzę ducha swego łachmanem ze

złota okryli, do których aby być uszanowanym, karetą zajeżdżać trzeba, Bóg! — nie odepchnie nas i dopomoże nam!

JADWIGA. O! nie odepchnie, bo my jego prawa zapisać czynem w życie, starać się będziemy — Ojcie — potwierdź że tę naszą nadzieję, swoim błogosławieństwem.

CZESKI. Daję go z głębi serca od siebie i od matki waszłej.

SCENA 15.

Ci sami, Helena, Mężyczka.

HELENA (*wychodząc z bocznych drzwi do Mężyczki która wchodzi głównymi*). Pani jesteś nieoceniona kobieta!

MEŻYCKA. Co widzę?... błogosławieństwo — zaręczyny. Miło mi pierwszej złożyć życzenia (*do Czeskiego*). Nie mogłeś pan lepiej wybrać dla dziecka swego.

CZESKI. Wiem ja to oddawna pani, że nie w majątku szczęście jedyne, ale świat tak nam ciągle w uszy trąbi, pieniądz — nic, tylko pieniądz! że i zdurzy czasem człowieka.

SCENA 16.

Ci sami, Zawilski.

HELENA (*biegnąc na przeciw Zawilskiego*). W samą też porę pan przyszedłeś — mamy tu zaręczyny.

ZAWILSKI. Jak to?... co?... zaręczyny — waszego ojca z panią Mężyczką.

HELENA. Ej! gdzież tam! — téj oto młodej pary, której tak ładnie razem.

ZAWILSKI (*zbliża się do Władysława i Jadwigi*). Więc to panna Jadwiga będzie jego?... któraż więc moja? (*chce wziąć za rękę Helenę, ta mu się wyrwa*).

HELENA. Żadna!... boś pan o tém za późno pomyślał.

ZAWILSKI (*dając się*). Poczekaj ty malcze!... Bóg cię skarze i zostaniesz starą panną (*Helena kręci głowę że nie*). Nigdy nie jest za późno, kiedy kto jak ja pragnie i może uszczęśliwić.

MEŻYCKA (*wdzięcząc się*). Tak, bez wątpienia — mało jest ludzi, którzyby tak jak pan uszczęśliwić zdolni byli.

ZAWILSKI. Otóż to kobieta, która mnie należycie ocenić potrafiła, a jeszcze taka piękna kobieta. (*do Mężyczki*) Pani! — kiedyś raczyła pojąć wartość moję, pozwól że się uszczęśliwić (*wyciąga ku niej rękę*).

MEŻYCKA (*dając rękę z przesadą*). Tak! na wieki razem.

WŁADYSŁAW (*do Jadwigi*). Czy też to będzie jej ostatni mąż?

CZESKI. Otóż rzecz dziś rzadka między nami — dwie pary zupełnie dobrane.

(*Zastona spada*).

KONIEC.

OGRÓD BOTANICZNY (*jardin des plantes*) W PARYŻU.

Owo wielkie muzeum historii naturalnej, które dziś zawiera prawie wszystkie płody kuli ziemskiej, założone zostało w Paryżu pod skromnym imieniem *ogrodu królewskiego roślin lekarskich* r. 1640 i w przywileju Ludwika XIIIgo udzielonym dwóm jego doktorom Hérouard i Gui de La Brosse, na kupienie pewnej przestrzeni gruntu, wymieniono że ponieważ w szkołach medycznych nie uczą farmaceutycznych preparacji, zezwala się aby trzech doktorów z fakultetu paryzkiego wykazywało w tymże ogrodzie studentom własności i skład roślin i uczyło ich prostemi oraz chemiczne-

mi sposobami przyrządzać lekarstwa. Mimo oporu fakultetu, tego oporu który często spotyka znaczne przedsięwzięcia i postępowe pomysły Gui de La Brosse zakupił ziemię, założył ogród i wtedy właśnie, kiedy mógł już używać owoców swych starań umarł, lubo należałoby żeby choć przecie doktor umiał umierać w porę; zachwiało się tedy istnienie ledwo co utworzonego zakładu, bo kardynał Richelieu miał za nadto do czynienia z magnaterją, z hugonotami i z Austrią żeby przedewszystkiem miał się zajmować ogrodem. Pozostał on tedy jakiś czys w zaniedbaniu, lecz zakwitnął znowu